

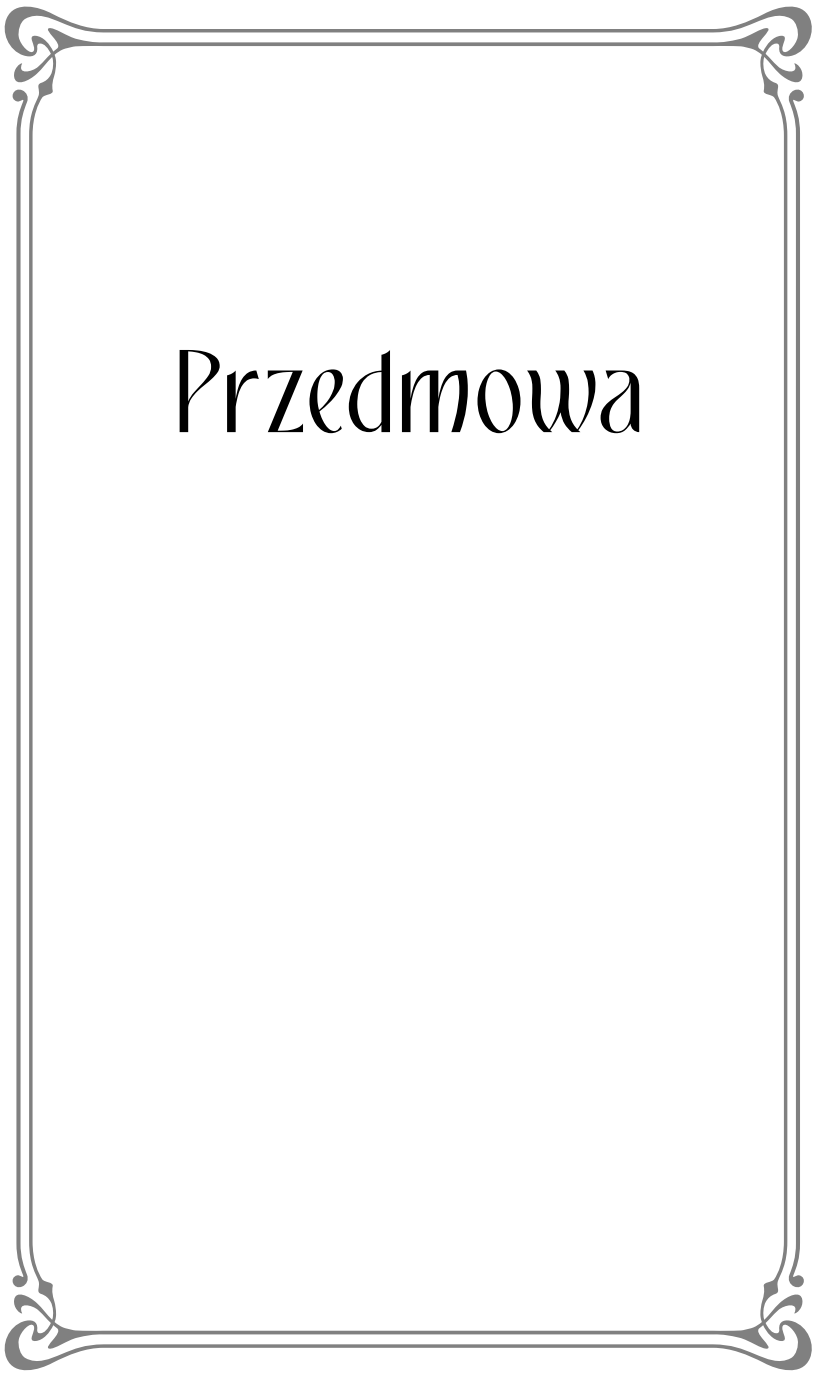


STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

NARKOTYKI



BUKOWY LAS



Przedmowa

Ponieważ tzw. swobodną twórczością, to jest tzw. śpiewaniem ptaszka na gałęzi, nic dla społeczeństwa i narodu zrobić nie mogłem, postanowiłem po szeregu eksperymentów zwierzyć się ogółowi z moich poglądów na narkotyki, zaczynając od najpospolitszego: tytoniu, a kończąc na najdziwniejszym chyba peyotlu (któremu rezerwuję osobne miejsce), w celu choćby małego wspomżenia dobrych potęg w walce z tymi najstraszniejszymi, poza wojną, nędzą i chorobami, wrogami ludzkości. Może i ta praca (z powodu pewnego tonu w sformułowaniu gorzkich prawd) potraktowana będzie humorystycznie lub negatywnie, jak moja estetyka, filozofia, sztuki sceniczne, istotne portrety, dawne kompozycje itp. „swobodne wytwory”. Oświadczam oficjalnie, że piszę poważnie i chcę wreszcie coś bezpośrednio pożytecznego zdziałać, a na idiotów i ludzi nieuczciwych sposobu nie ma, jak to w ciągu mojej dość smutnej działalności miałem sposobność przekonać się. Mówi się komuś: „Jesteś głupi, ucz się, a może zmądrzejesz” – nic nie pomoże, bo człowiek głupi jest przy tym zarozumiały i to, nawet jeśli by mógł przy usilnej pracy zmądrzeć, uniemożliwia mu wybrnięcie

z błędnego koła. Mówi się draniowi: „To nieładnie być taką świnią, zastanów się, popraw się” – próżne gadanie: nie rozumiemy tego, że większość draniów jest świadomie właśnie draniowata – oni wiedzą o tym i nie chcą być innymi, o ile tylko mogą draniowatość tę dobrze zamaskować. „Czy można patykowi przebaczyć, że jest patykiem” – jak mówił Tadeusz Szymberski – i miał rację.

Byłem niegdyś „fighting manem” – człowiekiem bojowym par excellence, miałem idee i chciałem o nie walczyć – nie było gdzie i z kim. Bynajmniej nie sprzeniewierzyłem się moim ideom (Czysta Forma w malarstwie i w teatrze i reforma artystycznej krytyki), tylko przyszedłem do przekonania, że są one w każdym razie obecnie nie na czasie i że może w ogóle minął dla nich ich czas. To, co twierdziłem jeszcze przed wojną, a co wyraziłem w czwartej części książki pod tytułem *Nowe formy w malarstwie...*, że sztuka ginie, dzieje się na naszych oczach, a wobec tego, czy będzie i jaka będzie krytyka artystyczna w moim znaczeniu, to jest krytyka formalna, jest bez znaczenia. Co innego, jeśli rzecz idzie o literaturę nie jako sztukę – tam jest jeszcze coś do powiedzenia i może jeszcze się na ten temat wypowiem. Obecnie jestem stosunkowo pogodnym osobnikiem lat średnich, który o żadnych „wyczynach” w wielkim stylu już nie marzy i pragnie jako tako skończyć to życie, którego dotąd przynajmniej mimo klęsk i niepowodzeń nie żałuje. Co będzie, to będzie. Zaznaczyć tylko muszę, że „dziełko” niniejsze będzie nosić charakter wysoce osobisty, a więc niejako pośmiertny.

Nie jest to megalomania i chęć zaprzatania swoją (nikomu dotąd niepotrzebną) osobą ludzi zajętych czym innym i daleko przyjemniejszym. Ale pisząc o moich osobistych przeżyciach, nie mogę pominąć siebie. W każdym razie będzie tu podana w sposób przystępny część prawdy o mnie, i to prawdy bezpośrednio dla ogółu pożytecznej.

Czymże to jest wobec potwornych plotek, które o mnie krążą. Pod tym względem w naszym już i tak wyjątkowo plotkarskim i lubiącym bawić się oszczerstwami społeczeństwie spotkało mnie, zdaje się, wyróżnienie. Mimo całego braku megalomanii, co z całą uczciwością podkreślam, mam wrażenie, że doborem bzdur i kłamstw, jakie o mnie mówiono i mówi się jeszcze, nie każdy przeciętnie znany u nas człowiek poszczycić się może. Nie będę wchodził tu w przyczyny tego zjawiska, ale sądzę, że pewną rolą w wytworzeniu się niechęci ogólnej w stosunku do mnie była trudność w zgłębieniu mnie intelektualnym przez ludzi bez odpowiednich do tego kwalifikacji, a po wtóre, pewne niezwracanie przeze mnie uwagi na opinię publiczną, przez co czyny, które u innego przeszłyby bez zwrócenia uwagi (np. wypicie aż trzech wódek w jakimś barze), w stosunku do mnie wywoływały niekorzystne dla mnie oburzenie, nieproporcjonalne do ich wartości. Mniejsza z tym.

A więc: zaczynam pisać dziś (6 II 1930 r.) tę książkę „na P”, to znaczy w stanie palenia. Jutro, jak zwykle, przestaję palić – sądzę, że tym razem definitywnie lub na czas bardzo długi – i rozdział o nikotynie będę pisał

w miarę odzwyczajania się od papierosów, przy czym jest możliwość, że w środku pisania zapalę znowu i „nie omieszkam zwierzyć się” z tego faktu przed ewentualnymi czytelnikami. Tyle razy się to zdarzało! Z nikotyną walczę już od lat dwudziestu ośmiu i mimo częstych okresów abstynencji (do kilku tygodni) nie zdołałem całkowicie jej przeczucić. Możliwe to jest i teraz, mimo zaczącia niniejszej pracy. Zbliża się jednak chwila, w której staje się to koniecznym, o ile nie miałbym zrezygnować z wszelkich wyższych aspiracji w stosunku do siebie samego. Detale na ten temat później. Sądzę, że ten sposób opisu – to znaczy na NP_1^* , czyli w stanie niepaleńca – będzie dość istotny, ponieważ jednocześnie pragnąc ulubionego i znienawidzonego narkotyku ostatniego chyba rzędu (niech będą przekłeci Indianie i ci, którzy to świństwo do nas zawlekli), będę mógł lepiej zanalizować ogarniające nałogowego palacza pokusy i podać sposoby ich odparcia na tle wspomnień ohydneho samopoczucia (często maskowanego przed sobą i innymi) przy powrocie do tej świńskiej, bezpłodnej i oglupiającej trucizny. Właśnie niedawno nie paliłem aż cztery dni (a wiadomo, że drugi dzień jest najgorszy i że trzeciego zaczyna się poprawa) – aż tu „trach” i zapaliłem na nowo (zanalizuję mechanizm tego faktu później), i wszystko „fajt” od początku. Oczywiście nie wytrzymałem i zapaliłem dziś rano – po prostu, żeby zobaczyć, jak to tam wszystko wygląda na P. Nie żebym „znowu już tak” nie mógł wytrzymać, tylko tak sobie: jeszcze raz na świat spojrzeć

* Numery przy NP oznaczają ilość dni. Tego samego markowania używam na moich rysunkach [przyp. aut.].

z „tamtej strony” (upadku, ogłupienia, zniechęcenia itp.), a potem już definitywnie „szlus”. Tak to się tłumaczy przed sobą te historie. Nie – najgorszą rzeczą jest słabość – *durchhalten** – a jak, o tym napiszę w rozdziałku o nikotynie. Zapaliłem – to jest ponury fakt (kogoż to właściwie obchodzi, ale chodzi o innych, o tysiące, miliony zaczadziałych, otępiałych, sflaczałych) – i piszę dalej tę przedmowę w stanie zupełnego otumanienia. Właśnie chciałem się zająć dalej moją filozoficzną pracą (bardzo ryzykowna historia i jeszcze nie wiem, co z tego wyjdzie), ale okazało się to absolutnie niemożliwym: tępota, brak tego, co dr mat. Stefan Glass nazywa *igriwost’ uma*** , brak możliwości jakiego takiego skupienia się. To tylko zwierzenia tymczasowe – wszystko będzie opisane z „detajłami” później. Zacząłem pisać tę przedmowę z rozpacz, nie mogąc się zabrać z powodu zatrucia nikotyną do czegoś lepszego, chcąc raz zacząć to „dziełko”, usprawiedliwić przed sobą własną swą egzystencję. Czy wszelka „twórczość” nie pochodzi z tych źródeł?

Wracając do opinii publicznej: byłem i jestem dotąd nałogowym palaczem, walczącym bohatersko od lat dwudziestu ośmiu ze straszliwym przyzwyczajeniem. Do pewnego stopnia można by mnie uważać w pewnych okresach za nałogowego pijaka, o ile za takiego (różne są standardy – wzorce) uzna się kogoś, kto urzyna się przeciętnie raz na tydzień, potem nie pije miesiąc albo i więcej i który miał jedną jedyną w życiu pięciodniówkę (à propos pewnej

* *durchhalten* (niem.) – kontynuować, przetrzymać

** *igriwost’ uma* (ros.) – zrzęczość umysłu

premii scenicznej – okoliczność wysoce łagodząca) i do dziesięciu trzydniówek, i który nigdy nie chłwał wody rano przy goleniu się. Ale nigdy nie byłem kokainistą – temu przeczę stanowczo, mimo że dla wielu perwersyjnych kretynów i to moje oświadczenie może być właśnie dowodem za, a nie przeciw*. O ile można by mnie nazwać okresowym pijakiem, *Wochensaufer***, na przestrzeni lat dziesięciu, to proponowałbym nazwę *Quartalkokainist* w okresie trzyletnim, i to z dużą przesadą. Dwa razy w życiu zażyłem kokainę na trzeźwo i zaraz postarałem się zapić to świństwo. Inne wypadki zażywania tego drogu (z czym się nigdy nie kryłem, podpisując rysunki robione w tym stanie odpowiednią marką Co) połączone były zawsze z wielkimi „popojkami à la manière russe***”. Nigdy nie byłem morfinistą, mając idiosynkrazję do tego specyfiku (raz w życiu miałem zastrzyk minimalny i o mało nie umarłem),

* Po napisaniu brulionu tej pracy przeczytałem niedawno w artykule, którego autora nazwiska nie pamiętam, a który dotyczył książek pani Żurakowskiej – właściwie całego artykułu nie znam, tylko ktoś mi pokazał takie zdanie (cytuję z pamięci) – coś takiego: „ani kokainowe wyczerpanie Witkiewicza, którego wybuchy nie są wybuchami”. Przede wszystkim, gdzie jest definicja ścisła pojęcia „wybuch” (w literaturze)? A po wtóre, albo autor tego artykułu jest człowiekiem głupim i nie wie, co robi, albo złym i programowo popełnia świństwo, pisząc takie brednie na podstawie plotek. W każdym razie dziwię się redakcji „Wiadomości Literackich”, że tego rodzaju nieetyczny czyn literacki na swoich tzw. łamach toleruje. Oskarżenie kogoś w krytyce literackiej o nałogowy kokainizm (bo jakże zrozumieć to „wyczerpanie”) jest zwykłym oszczerstwem. Można oskarżać o wyczerpanie, ale to trzeba udowodnić, i to nie na podstawie głupich plotek [przyp. aut.].

** *Wochensaufer* (niem.) – pijak upijający się raz na tydzień

*** *à la manière russe* (fr.) – na sposób rosyjski

ani eteromanem, z powodu jakiegoś braku zaufania do eteru, mimo że używałem go parę razy w życiu: z wódką i przez wdychanie. Rysunki, owszem, były dość ciekawe i przy wdychaniu uczucie ginięcia świata i ciała, a potem „metafizycznego osamotnienia w przestrzennej pustyni” zabawne, ale jakoś to nie przemawiało nigdy do mego przekonania. Innego zdania jest dr Dezydery Prokopowicz, który opracuje w „dzielku” tym część eteryczną. Bohdan Filipowski, okultysta i długoletni nałogowy morfinista, zajmie się swoim ulubionym drogiem, na myśl o którym mnie robi się wprost zimno – tak straszne rzeczy przeżyłem wtedy w Petersburgu, gdy przez cztery godziny walczyłem ze śmiercią wśród torsji i zamierania serca. Tak więc stanowczo odpieram zarzuty co do nałogowego używania wyżej wymienionych preparatów, przyznając się do sporadycznego używania peyotlu i meskaliny, pierwszego wyrobu dr. Rouhier, a drugiej fabrykacji wspaniałej firmy „Merck”. Również przeczę przy sposobności, jakobym oddawał się homoseksualizmowi, do którego czuję wstręt najwyższy; jakobym żył płciowo z moją syjamską kotką, Schyzią (Schizofrenią, Isottą, Sabiną, którą bardzo lubię, ale nic poza tym) i jakoby nierasowe zresztą kocięta z niej zrodzone były do mnie podobne; jakobym miał stragan portretowy na Wystawie Poznańskiej i robił dziesięćminutowe portrety po dwa złote (czego te dranie nie wymyśla!); jakobym był blagierem i rzucał się na kobiety przy łada sposobności; jakobym uwodził mężów żonom, chodził we fraku (nigdy nie miałem fraka w ogóle) na Giewont, pisał sztuki

sceniczne dla kawału, nabierał i kpił, i nie umiał rysować. Wszystko to są plotki wymyślane przez jakieś obskurne baby, kretynów i idiotów, a nade wszystko przez draniów chcących mi zaszkodzić. Odpieram te znane mi plotki i z góry te wszystkie, które krążyć jeszcze o mnie w Zakopanem i jego przysiółkach będą. Szlus.

Jeszcze jedna rzecz: może kto pomyśleć, że piszę tę książkę dla autoreklamy. Otóż nie: będą tam opowiedziane rzeczy, które mi wcale zaszczytu nie przynoszą, a głównym celem jej jest uchronienie dalszych pokoleń od dwóch najpotworniejszych „ogłupjansów” (*stupéfiant*s): tytoniu i alkoholu, tym groźniejszych, że są one dozwolone, a szkodliwość ich niedostatecznie jest uświadomiona. Narkotykami „białymi” wyższej marki zajmuje się dziś elita ludzkości i te nie są tak groźne – to arystokracja narkotyzmu. Niebezpieczniejsze są te szare, codzienne, demokratyczne jady, na które każdy bezkarnie pozwolić sobie może.

Metoda moja jest czysto psychologiczna. Chodzi mi o zwrócenie uwagi na skutki psychiczne trucizn tych, skutki, które każdy, nawet początkujący, może już w miniaturze na sobie oglądać na długo przed tym, nim całkowicie opanowanym zostanie. Ja nie będę przed wami rozbijał jaj (kurzych) i wrzucał ich do spirytusu, abyście zobaczyli, jak ścina się białko pod wpływem „przezroczystego płynu” (jak to czynił za mojej pamięci śp. książę Giedroyc); ja nie będę wam pokazywał w przezroczach zakopconych płuc i rozdętego serca palacza ani zdegenerowanej wątroby pijaka, ani zanikłego, wielkości piąstki, żołądka kokainisty – „ja

nie będę grał Wam pieśni smutnej, o cieniu, lecz dam tryumf dumny i okrutny...” itd. – chcę wam ukazać drobne psychiczne przesunięcia, które w ostatecznym swym rozwinięciu dają obraz zupełnie innych niż w punkcie wyjścia osobowości, duchowo zdeformowanych, pozbawionych wszelkiego tzw. geistu (słowo polskie „duch” nie oddaje tego, co niemieckie *Geist* i francuskie *esprit* – dryg, mknik, wyskrzyk, wyblýsk, wypęd itp.), siły twórczej i tego rozpędu w Nieznane, do którego konieczna jest odwaga i beztroska, zabijana systematycznie przez ohydny nałóg. Mnie od skutków nikotyny, od której dotąd całkowicie wyzwolić się nie zdołałem, uratowało to, że często i czasem na dość długo (kilka tygodni) przestawałem palić, tak że w sumie pół lub jedną trzecią roku faktycznie nie paliłem. Oczywiście działanie takiej abstynencji *par intermittence** nie mogłoby być tak korzystne jak wielkie ciągłe okresy wyrzeczenia się zupełnego – ale i to zrobiło swoje. Ale ci, którzy palą stale, a w 90% wypadków muszą palić coraz więcej, popełniają systematycznie duchowe samobójstwo ratami, nieznacznie, sami o tym nie wiedząc, pozbawiając każde przeżycie barw i blasków i niszcząc rzecz najcenniejszą: intelekt, za cenę przyjemności prawie żadnej. Bo czyż nałogowy palacz ma w ogóle jakąś przyjemność? Tylko negatywną – zaspokojenia wstretnej, nienaturalnej potrzeby. Tak jest podobno ze wszystkimi narkotykami, o ile dany osobnik doprowadzi się do dostatecznie wysokiego stopnia znałogowania.

* *par intermittence* (fr.) – z przerwami

Jeśli młodzieńcowi lat szesnastu pokażecie wątrobę czterdziestoletniego alkoholika, przerośniętą i zdegenerowaną, czy przestanie pić na ten widok? Nie – zbyt daleko jest od niego ten rok czterdziesty, jest czymś niewyobrażalnym – wiem to z własnego doświadczenia. A zresztą każdy mówi: „E – czy będę żył o kilka lat dłużej, czy krócej, to jest *«ganc Wurst und Pomade»** – chodzi o tę chwilę”. A potem, jak przyjdzie te ostatnie pięć lat, których się taki nieszczęśnik lekkomyślnie wyrzekł i które mogą być mu faktycznie odjęte, to na głowie staje taki, aby przedłużyć to życie, którego w większej ilości wypadków przedłużyć już nie warto. Żyje potem taki osobnik po własnej istotnej śmierci, zidiociały, wewnętrznie, a często i zewnętrznie zniedołężniały, niezdolny do wydajnej pracy, zhipokondryczały, liczący tylko puls co pięć minut i zażywający tony lekarstw, które nie mogą już odrodzić zdegenerowanych komórek. Trzeba ukazać skutki psychiczne, doraźne, których powolnego postępu (*schleichender Vorgang*** – brrr! Strach!) nie każdy może zaobserwować, a szczególnie ten, co używa danego narkotyku stale, bez przerwy. Wyższe narkotyki dają wściekle reakcje – zaraz widać ich szkodliwość. Chęć pokonania tych reakcji, a nie pragnienie pozytywnych skutków, jest często przyczyną popadania ludzi w nałogi. Nikotyna nie daje wyraźnej „głatwy” (*kätzenjammer*) i tym jest niebezpieczniejsza dla ogółu. Oddać się kokainie czy morfinie bez zastrzeżeń mogą w większości wypadków tylko osobniki już jakby predysponowane, degeneraci

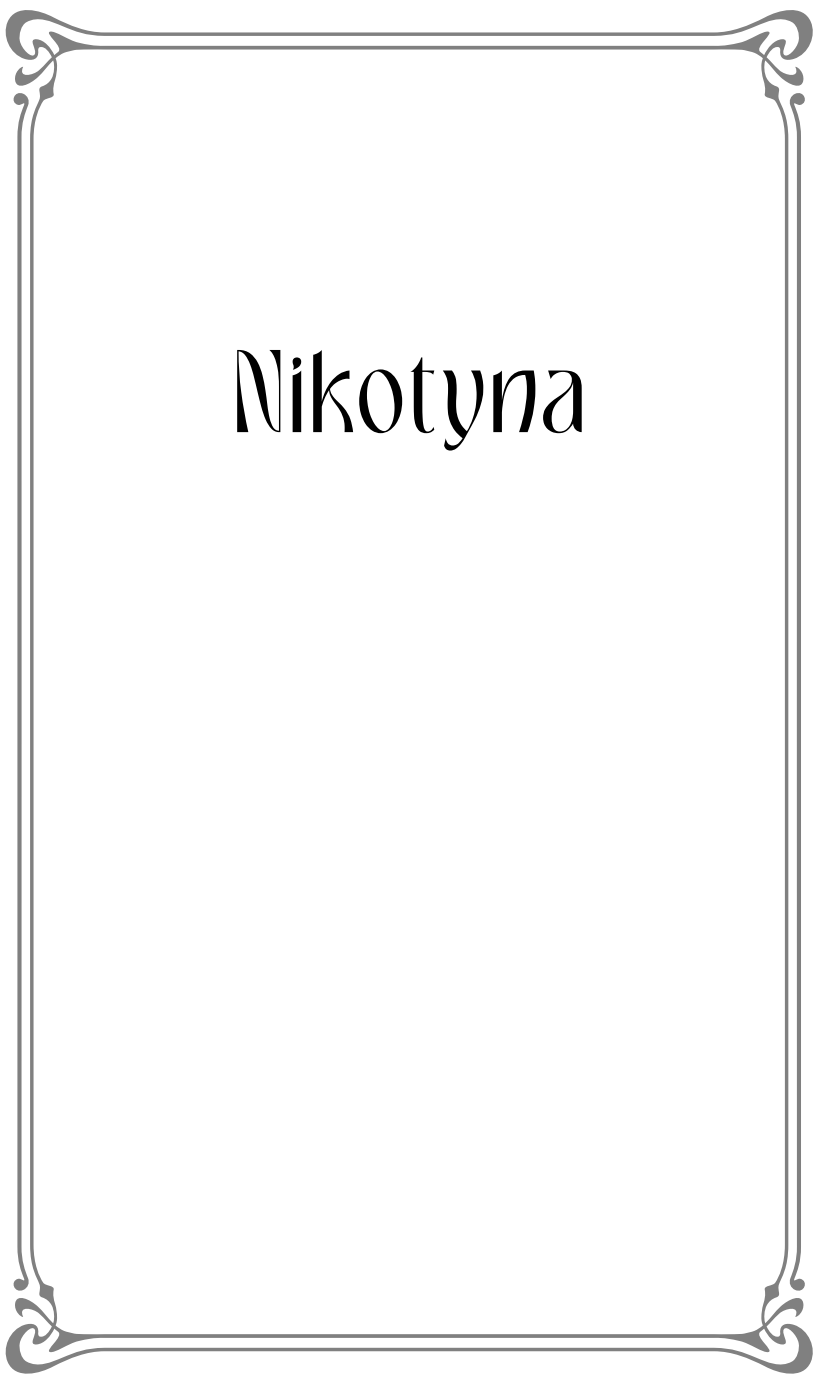
* „*ganc Wurst und Pomade*” (niem. idiom) – wszystko jedno

** *schleichender Vorgang* (niem.) – stopniowy proces

i tak niewiele co warci. Tytoń zaczadza, a alkohol spala powoli najlepsze czasem mózgi. Są tacy, co mówią: „Pałę i piję, nic mi to nie szkodzi i doskonale się czuję” – oczywiście do czasu. Całe masy drobnych niedomagań psychofizycznych kumulują się powoli, ażeby potem nagle wybuchnąć w postaci zupełnie określonej choroby psychicznej lub fizycznej. Ale pomyśl, o osobniku nieszcześny, jak byś świetnie się czuł, gdybyś tego wcale nie robił, jeśli organizm twój jest tak silny, że nawet przy ciągłym zatrutowaniu go może jeszcze znośnie funkcjonować. Jakim byś był, gdybyś tego nie robił, nie dowiesz się nigdy. Szkody tej niepodobna zmierzyć i ocenić. Wiedzą o niej trochę ci, którzy przestawali i zaczynali znowu. Cóż bym ja dał, żeby odwrócić te dwadzieścia osiem lat palenia, i to z przerwami. A dziś, kiedy mi to szkodzi stokroć więcej niż wtedy, gdy miałem lat osiemnaście, jest mi również stokroć trudniej rzucić wstrętny nałóg niż za „dobrych dawnych czasów”. A cóż musi się dziać z prawdziwymi alkoholikami i kokainistami, do jakich zaliczyć się mimo wielkiej chęci moich „wrogów” nie mogę – strach pomyśleć.

Tak więc zaczynamy: jutro jest bal, urzynam się i pojutrze koniec. Daleko łatwiej rozprawić się z nikotyną na tle lekkiej choćby „głątewki” poalkoholowej.

7 II 1930 r.



Nikotyna

Lew Tolstoj twierdził podobno, że człowiek, który nigdy w życiu swym nie zapalił papierosa, niezdolnym jest do prawdziwej zbrodni w całym znaczeniu tego słowa. Jest w tym zdaniu pewna przesada, bo wiadomo, że np. w Europie choćby na długo przed wprowadzeniem tytoniu ludzie mordowali się niezgorzej. Może dopomagał im w tym alkohol – czort wie – nie moim zadaniem jest pisać historię narkotyków całego świata. Zresztą – kiedyś nie było też alkoholu. Ale jak tylko daleko sięgnie się w dzieje ludzkie, zawsze na jakieś „omany narkotyczne” natrafić można. Widocznie świadomość doprowadzona do pewnego stopnia wyostrzenia nie mogła wprost znieść samej siebie wśród metafizycznej potworności Istnienia i czymś musiała łagodzić swą własną perspikację*. Używanie narkotyków połączone było zawsze z obrzędami religijnymi, było częścią integralną różnych kultów. Religia i sztuka też były przecież kiedyś zasłonami dla zbyt okropnie jaskrawo świecącej z czarnej otchłani Bytu – Wiecznej Tajemnicy. Dopiero począwszy od Grecji, rozpoczyna

* perspikacja (z łac.) – jasnowidztwo, tu raczej: widzenie siebie

się pojęciowa walka z tajemnicą tą – walka, która musi skończyć się oczywiście porażką. My żyjemy w epoce wielkiego przełomu. Wszystkie elementy przeszłości i zarysowującej się przyszłości są w naszych czasach pomieszane. Sądzę, że na tle społecznego uspokojenia, do którego zdążamy, zbliża się czas końca wszelkich omanów, a z nim także końca narkotyków. Dzisiejsza klęska narkomanii jest też ich ostatnim przedśmiertnym podrygiem na tle pomieszania przeszłości z przyszłością. Ponieważ lepiej jest, aby coś już zgangrenowanego i niezdolnego do życia odpadło prędzej, chcemy niniejszą pracą przyczynić się do przyspieszenia tego procesu. Co dawniej było na miejscu, było czymś twórczym, dziś może być balastem utrudniającym skonsolidowanie się przyszłego ustroju ludzkości. Do takich balastów należą bezwzględnie narkotyki, jakkolwiek rola niektórych (nikotyny i alkoholu) może wydawać się pewnym ludziom na razie społecznie dodatnią. Mimo przesady w rzekomym zdaniu Tolstoja twierdząc, że nikotyna może być doskonałym wstępem do alkoholizmu i wszelakiego omamienia: stwarza pewien typ mechanizmu psychicznego, który daje się zastosować do każdego innego nałogu. Człowiek palący znajduje się już na tej równi pochyłej, z której w dowolną przepaść stoczyć się można, a na dnie której może znaleźć się i zbrodnia, nawet jeśli ku niej żadnych specjalnych predyspozycji nie było. Mało jest notorycznych pijaków, którzy by wcale nie palili. Pod pojęciem prawdziwego pijaka rozumiem kogoś stale, codziennie używającego alkoholu do końca życia – chyba jeśli strach przed

śmiercią zabronił mu już w ostatniej nieomal chwili przed wypełnieniem się jego życia używać zabójczego płynu i przedłużyć trochę w ten sposób zmarnowane w ogóle istnienie. Ludzie niepalący, a pijący, co – jak twierdzą – rzadko stosunkowo się zdarza, przestają zwykle pić w porę, przed czasem krytycznym, mniej więcej koło czterdziestki, i są w stanie dokończyć swych istnień we względnej jasności ducha. Przykładem klasycznym tego typu jest Boy, który przecie pisał kiedyś hymny pochwalne na cześć alkoholu, a teraz używa go czasem jedynie, w wypadkach prawdziwie wielkich uroczystości. Dlatego wydajność jego nie słabnie i ma on możliwość rozwoju wewnętrznego aż do końca dni swoich.

Jest w człowieku pewne nienasycenie istnieniem samym, nienasycenie pierwotne, związane z samym faktem koniecznym istnienia osobowości, które nazywam metafizycznym i które, o ile nie jest zabite nasycaniem nadmiernym uczuć życiowych, pracą, wykonywaniem władzy, twórczością itp., może być złagodzone jedynie przy pomocy narkotyków. *Für elende Müssiggänger ist Opium geschaffen** – powiedział, zdaje się, ktoś. Pozorna sprzeczność tego twierdzenia z następnymi wywodami na temat „społeczności” nikotyny i alkoholu (o ile są używane w dawkach nieprzekraczających pewnych granic) w związku ze społeczną mechanizacją będzie wyjaśniona w dalszym ciągu. W ogóle dzielę narkotyki na pozornie społeczne i wyraźnie

* *Für elende Müssiggänger ist Opium geschaffen* (niem.) – Opium jest dla nędznych próżniaków.

aspołeczne, ale – o tym później. Otóż nienasycenie to, o którym była mowa wyżej, a które polega na ograniczoności każdego indywiduum w Czasie i Przestrzeni i na przeciwstawieniu się jego nieskończonej całości Istnienia, nazwałem kiedyś uczuciem metafizycznym. Występuje ono w najrozmaitszych związkach z innymi stanami i uczuciami, tworząc różne z nimi amalgame, a opiera się o bezpośrednio daną jedność naszego „ja”, naszej osobowości. Może ono być jako takie motorem różnych działań i może nadawać specjalne zabarwienie czynnościom niebędącym bezpośrednim jego przejawem. Jeśli dominuje w psychice danego osobnika, jest przyczyną twórczości religijnej, artystycznej lub filozoficznej. Jeśli jest tylko podrzędną składową całości danej psychiki, może być powodem umetafizycznienia dowolnych sfer działalności odpowiedniego osobnika lub nadawać tylko specyficzny charakter jego przeżyciom wewnętrznym. Nie będę tu przedstawiał w skrócie moich poglądów filozoficznych i estetycznych. Ostatnie znalazły wyraz w książkach już wydanych: *Nowe formy w malarstwie...*, *Szkice estetyczne* i *Teatr*. Co do filozofii, możliwym jest, że ogłoszę niedługo podstawową moją pracę na ten temat. Na razie wystarczą może powyższe wyjaśnienia. Otóż twierdzę, że wszystkie narkotyki, tak „społeczne”, w początkowych i w małych dawkach, jak i aspołeczne, nasycają do pewnego stopnia wynikające z samej istoty Bytu, to znaczy z ograniczenia indywiduum: nienasycenie i tęsknotę, aby w dalszym działaniu przytępić te stany i zabić je zupełnie. Podobnie działają: religia, sztuka i filozofia, które początkowo wyrażają

na różne sposoby metafizyczny niepokój, łagodząc zasłonami konstrukcji uporządkowania uczuć metafizycznych w kultach, konstrukcji form artystycznych w sztuce i systemów pojęciowych w filozofii – okropność samotności indywiduum w bezsensownym Bycie, następnie, w związku z uspokojeniem społecznym, degenerują się i zanikają w miarę zanikania samego niepokoju, do czego same się przyczyniły.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



NIKOTYNA
ALKOHOL
KOKAINA
PEYOTL
MORFINA
ETER



Nr 21000293/D0

ISBN 978-83-8074-870-5



9 788380 748705



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł